

Nauczyciel i prokurator, czyli świat postawiony na głowie

18 marca 2013

„Jeden tam tylko jest porządny człowiek: prokurator; ale i ten, prawdę mówiąc, świnia.” (Mikołaj Gogol)

Nauczyciel to mój zawód. Nawet wielki zawód. Swego czasu, aby móc ten zawód wykonywać, zapisałem się na podyplomowe studia pedagogiczne. W środowisku nauczycielskim trwała akurat gorączka starania się o wprowadzone niedawno stopnie awansu zawodowego, więc spora część moich kolegów z tych studiów była zaaferowana zbieraniem dokumentacji potwierdzającej ich wysokie kwalifikacje profesjonalne i osobiste. Większość kuluarowych rozmów dotyczyła tego, jak zdobyć stosowne zaświadczenia, jakie dokumenty można dołączyć do teczek, jak czytać stosowne rozporządzenia i ustawy. Koledzy bardzo chętnie dzielili się doświadczeniami, konspektami zrealizowanych projektów i zajęć pozalekcyjnych, a także szczególnie twórczych cykli lekcji, udzielali sobie rad, a nawet wymieniali się nie wiadomo skąd wziętymi, wypisanymi in blanco zaświadczeniami o udziale w fachowych warsztatach i kursach czy wysłuchaniu fachowych wykładów.

Pamiętam dyskusję wśród polonistów o tym, że gdy robi się z dziećmi przedstawienie, warto przedłożyć dokumentację na papierze, a nie na płycie CD, której i tak nikt nie włoży do odtwarzacza, a w materiałach zajmuje wizualnie za mało miejsca. A w ogóle to lepiej zrobić jednak gazetkę niż przedstawienie, bo sama gazetka jest już dokumentem, który może zostać dołączony do papierów, i mniej z tym roboty. Pamiętam rozmowy matematyków o tym, że jest organizowany świetny konkurs, za udział w którym każdy uczestnik dostaje dyplom, więc jeśli zachęci się do udziału w konkursie całą

klasę, to ma się całą teczkę dyplomów do skserowania i dołączenia do papierów. Pamiętam rozmowy o otwierających się fantastycznych możliwościach pozyskiwania grantów i dotacji dla różnych szkolnych przedsięwzięć i o tym, że wszelka „grantowa” aktywność jest bardzo dobrze widziana przez branżowe komisje. Pamiętam zazdrość, z jaką nauczyciele gimnazjalni i licealni spoglądali na koleżankę z młodszych klas podstawówki, która powiedziała uczniom, że dopiero wtedy będzie jej bardzo miło, gdy do zwyczajowych kwiatków na dzień nauczyciela dołączą własnoręcznie wykonane laurki, w których napiszą po kilka miłych słów i może jedno zdanko o tym, za co są swojej pani szczególnie wdzięczne. Dzieciaki wywiązały się na medal: cały plik pięknych laurek świadczących dobitnie o tym, że pani jest lubiana i że dobrze wykonuje swoją pracę, mógł zostać dołączony do prezentacji dorobku zawodowego.

No i chyba właśnie przy tych laurkach czara się przelała. Jak to? Więc szkolni poloniści już nie rozmawiają o literaturze, gdy spotkają kolegę po fachu, nie kłócą się o sens skrzydlatych wersów? Szkolni matematycy nie sięgają odruchowo po skrawki papieru, aby zapisać jakieś niestandardowe rozwiązanie zadania, o którym myśleli od kilku miesięcy? Nauczyciele młodszych klas nie planują nowych zabaw? A wszyscy oni chętniej niż o dzieciakach, ich kłopotach i kłopotach z nimi, o szkolnych rozmowach, wojnach i awanturach, rozmawiają o dokumentach? Wszystko jest postawione na głowie? Właśnie dokumenty, awanse, ewaluacje, standardy stają się istotą naszej pracy, osią i punktem odniesienia naszego myślenia o zawodowej i społecznej misji, którą przyszło nam pełnić? I że właśnie tym zaczynamy się w szkole zajmować, ucząc niejako przy okazji.

To nie tak, że właśnie wtedy zrozumiałem, iż szkoła, system edukacji, władze oświatowe, państwowe czy ktokolwiek inny (no właśnie, kto?) mają w głowach porządnym ludziom, którzy przecież nie z żądzy zysku, prestiżu i władzy, ale najczęściej z przyjaźni dla bliźnich i świata wybrali trudny i

niewdzięczny zawód. Nie, to przecież wiedziałem od dawna.

Teraz jednak jakbym stracił wiarę, że twórcy systemu demoralizują jego uczestników niechcący, przez pomyłkę, mając na względzie wartości wyższe i jakieś końcowe dobro, do którego nie da się dojść tak, aby się nie ubłocić, nie uświnić. Teraz, od tej opowieści o wyłudzonych laurkach, widzę to tak, że chodzi właśnie o to, żeby nas ubłocić, uświnić, a odległego celu po prostu nie ma, nikt go nie wyznaczył i nikt go nie widzi. I im więcej od tego czasu pojawia się następnych reform, im bardziej kolejni ministrowie edukacji udoskonalają system, tym bardziej potwierdzają się te przypuszczenia. Lekarstwem na wszelkie szkolne niedostatki ma być jeszcze większa standaryzacja, ścisła kontrola zarówno każdej nauczycielskiej aktywności (tu kłania się choćby niedawny pomysł minister Szumilas zmuszenia nauczycieli do wpisywania wszystkich zawodowych czynności do specjalnych zeszytów), jak i sposobów i treści nauczania (określana eufemistycznie i bałamutnie „ewaluacją”), uzależnienie programów i sposobów nauczania od egzaminów (a nie odwrotnie!) i oczywiście towarzysząca temu wszystkiemu gigantyczna sprawozdawczość – tony papierów i gigabajty danych.

Te wszystkie lekarstwa mają narkotyczne działanie. Z jednej strony znieczulają wszystkich uczestników edukacyjnego życia, pozwalają odwrócić uwagę od bólu wynikającego z faktu, że nikt nie ma pomysłu na to, albo – tym gorzej – nikt nie chce otwarcie powiedzieć, czemu obowiązkowa szkoła w naszym kraju ma służyć, jakiego chce wychować absolwenta, jakie społeczne więzi chce i powinna budować i z jakimi zagrożeniami się mierzyć. Z drugiej strony stają się centrum myślenia i wyobraźni pacjentów, którzy nie są w stanie myśleć o niczym innym niż o lekarstwie. Wszystkie więc głębokie motywacje do podjęcia nauczycielskiego zawodu: wychowawcza czy przywódcza pasja, zamiłowanie do wykładanego przedmiotu, potrzeba tworzenia i pogłębiania relacji czy choćby chęć wykonywania pracy, której efektów daje się doświadczyć, stają się

drugorzędne, a w końcu wręcz zamierają. Ich miejsce zajmuje wieczne zaaferowanie dokumentacją, statystykami, fetyszyzm rubryk, planów i punktów, zbieractwo papierów.

Oczywiście nauczyciele miewają z takiej narkotycznej kuracji wiele korzyści. Praca z młodymi ludźmi, obcowanie z każdym z nich z osobna i z wieloma w masie, jest niezwykle obciążająca psychicznie, tym bardziej, że młodzież miewa jeszcze rodziców. Jeśli nauczyciel oddzieli się od swoich uczniów standardami, jeśli informacji zwrotnej o swojej pracy szuka w statystykach i dokumentacji, a nie w relacjach, może nieco łagodzić te obciążenia. A jednak wielu, bardzo wielu odbiera ten biurokratyczny system jako narzucony i upokarzający, jako gwałt na własnych dobrych intencjach i szlachetnych motywacjach. Dążność władz oświatowych do wszechobecnej standaryzacji i kontroli wynika przecież z nieufności, z przekonania o niskim morale nauczycieli, ich złym przygotowaniu do zawodu i skłonności do wymigiwania się od pracy. Ale cóż, pracować trzeba, nie można wiecznie kontestować systemu, w którym tkwi się po uszy, i który zresztą nauczył się kontestatorów pozbywać. Pracować trzeba, trzeba się przystosować. Oczywiście zdarzają się wśród nauczycieli wybitne jednostki, potrafiące z jednej strony uniknąć skorumpowania przez system, a z drugiej wiecznej frustracji, ale czy edukacja niepodległego europejskiego państwa całkiem przyzwoitej wielkości może opierać się na wybitnych jednostkach?

Sprawa korumpowania, demoralizowania ludzi wykonujących ważne społeczne funkcje przez nadmiernie kontrolujący i nieufny system ma, jak sądzę, zasięg szerszy niż edukacja. Nie tak dawno Polskę wstrząsnęła sprawa dwuletniej Dominiki, której dyżurny lekarz pogotowia odmówił pomocy, mimo objawów ewidentnie wskazujących na zagrożenie życia. Dziewczynka zmarła, a na lekarza posypały się gromy. Czy słusznie właśnie na niego? W końcu przeszedł on już wieloletnią tresurę, która wyrabia w lekarzach odruch obliczania, czy koszt wykonanej

przez niego usługi medycznej (tak właśnie: usługa, nie pomoc choremu człowiekowi!) nie przekroczy kwoty refundacji. Czy można się dziwić, że od lat konsekwentnie i bezwzględnie kształtowana dusza księgowego stłumiła ludzki odruch przerażenia, że człowiek może umrzeć bez pomocy? Czy można dziwić się, że wielu wspaniałych, pełnych empatii i energii społeczników przemienia się w, za przeproszeniem, menedżerów, widzących problemy społeczne wyłącznie tam, gdzie są jakieś pieniądze do wyciągnięcia? Czy można dziwić się naukowcom porzucającym pasjonujące, ale ryzykowne obszary badań, na rzecz takich, które może nie popchną świata do przodu, lecz z których da się łatwo stworzyć publikacje niezbędne do zawodowego awansu? Czy można dziwić się policjantom rozliczanym ze śledczych sukcesów, że starają się zniechęcić poszkodowanych do składania zeznań, gdy widzą, że poszukiwania sprawcy nie będą łatwe? No i czy można się dziwić, że w tym naszym polskim miasteczku mało jakoś porządnych prokuratorów?

No ale czy byłby w ogóle możliwy taki system, który zakładałby, że skoro ludzie podejmują jakąś działalność, wykonują społecznie pożyteczny, choć nie zawsze finansowo czy prestiżowo doceniany zawód, to mają dobre intencje? Że człowiek może odnajdywać w swojej pracy radość? Że nie porzuci ważnej i mającej sens roboty, gdy tylko nadzorca się odwróci? Czy możliwy jest taki system, który będzie zakładał, że w miasteczku naszym niejeden prokurator jest porządny i że wcale on zresztą nie jest świnią? Czy możliwe byłoby w konstruowaniu systemu założenie, że człowiek właśnie świnią się staje, kiedy jest traktowany jak świnia, a jeśli z niego świni nie robić, wcale się świnią nie okaże? Co by szkodziło kiedyś spróbować...

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i

popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie.